

JONATHAN SAFRAN FOER

wszystko
jest
iluminacją



Jonathan Safran Foer (ur. 1977) studiował filozofię. Jego opowiadania publikowały m.in. „The New Yorker”, „Paris Review” i „Conjunctions”. W 2002 roku zadebiutował powieścią *Wszystko jest iluminacją* (W.A.B. 2003). Została ona uznana za jedno z najważniejszych wydarzeń literackich ostatnich lat, uhonorowano ją wieloma nagrodami, m.in. The Guardian First Book Prize, The National Jewish Book Award. Stała się światowym bestsellerem, przetłumaczono ją na ponad dwadzieścia języków, powstał również film o tym samym tytule, w reżyserii Lieva Schreibera (w Polsce dostępny na płytach DVD). W 2007 roku nakładem W.A.B ukazała się druga powieść autora – *Strasznie głośno, niesamowicie blisko*.

**JONATHAN
SAFRAN
FOER**

**wszystko
jest
iluminacją**



W serii ukazały się:

- Majgull Axelsson *Daleko od Niflheimu · Kwietniewa czarownica*
- Attila Bartis *Spokój*
- Samuel Beckett *Sen o kobietach pięknych i takich sobie*
- Thomas Bernhard *Wymazywanie*
- Javier Cercas *Żołnierze spod Salaminy*
- Michel Faber *Bliźnięta Fahrenheit · Jabłko · Pod skórą · Szkarłatny płatek i biały*
- Jonathan Safran Foer *Strasznie głośno, niesamowicie blisko*
- Laurent Gaudé *Słońce Scottów*
- David Gilbert *Normalni*
- Jan Guillou *Zło*
- Enrique de Hériz *Kłamstwa*
- Michel Houellebecq *Cząstki elementarne · Możliwość wyspy · Platforma · Poszerzenie pola walki*
- Daniel Kehlmann *Beerholm przedstawia*
- Imre Kertész *Fiasko · Ja, inny. Kronika przemiany · Kadysz za nienarodzone dziecko · Likwidacja · Los utracony*
- Michaił Kononow *Goła pionierka*
- László Krasznahorkai *Melancholia sprzeciwu · Szatańskie tango*
- Doris Lessing *Lato przed zmierzchem*
- Karel van Loon *Ojciec i ojciec*
- James Meek *Ludowy akt miłości*
- Harry Mulisch *Odkrycie nieba · Procedura*
- Wiktor Pielewin *Empire V · Generation „P” · Mały palec Buddy · Omon Ra i inne opowieści · Święta księga wilkołaka · Życie owadów*
- W.G. Sebald *Austerlitz · Wyjechali*
- Zeruya Shalev *Mąż i żona · Życie miłosne*
- Władimir Sorokin *23000 · Bro · Dzień oprycznika · Lód*
- Jáchym Topol *Nocna praca · Siostra*
- Mo Yan *Kraina wódki · Obfite piersi, pełne biodra*
- Oksana Zabuzko *Badania terenowe nad ukraińskim seksem*
- Juli Zeh *Instynkt gry · Orły i anioły*

**JONATHAN
SAFRAN
FOER**

wszystko
jest
iluminacją

Przełożył
Michał Kłobukowski

w
ydawnic
ab
two

Autorskie prawa osobiste do utworu zastrzeżone.

Tekst ma charakter czysto literacki, a wszystkie przytoczone w nim imiona, osoby i zdarzenia – z wyjątkiem postaci i zdarzeń historycznych, które zostały jednak wykorzystane w sposób fikcyjny, no i oczywiście z wyjątkiem samego JSF – są tworem wyobraźni autora.

PODZIĘKOWANIA

Co najmniej raz dziennie, odkąd ją spotkałem, czuję, że znać Nicole Aragi to istne błogosławieństwo. Daje mi ona natchnienie nie tylko do bardziej ambitnego pisania, lecz i do tego, żeby się szerzej uśmiechać i mieć pełniejsze, lepsze serce.

Jestem za to ogromnie wdzięczny (*Atyab lee itha entee toukleba*).

Mam też przyjemność, a zarazem zaszczyt, myśleć o wspaniałych ludziach z wydawnictwa Houghton Mifflin jak o swojej rodzinie. Dotyczy to zwłaszcza Erica Chinskiego, którego rady w sprawach literatury i życia zawsze sprowadzają się do tego, żeby *więcej czuć*. Bo też właśnie to jest zawsze najlepszą radą.

Miło mi również było zbliżyć się – choć z daleka – z cudownymi ludźmi z wydawnictwa Hamish Hamilton. Spośród nich Andrew Kidd ma wyjątkowy dar sprawiania, że wszystko wydaje się niezwykle i takie też się staje. Dziękuję Abnerowi Steinowi za to, że nie tylko oddał tę książkę w ręce idealnego wydawcy, ale zarazem traktował mnie jak starego przyjaciela. Dziękuję Paulowi Marshowi, w którego biurze ludzie dobrze pracują i pełni są życzliwości.

I wreszcie dziękuję czytelnikom wcześniejszych szkieców,
z których powstała ta książka.

Część książki została poprzednio opublikowana w piśmie „New Yorker”.

Tytuł oryginału: *Everything Is Illuminated*

Copyright © Jonathan Safran Foer, 2002

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2003

Copyright © for the Polish translation

by Michał Kłobukowski, 2003

Wydanie II

Warszawa 2008

*Prosto i niemożliwie:
mojej Rodzinie*

UWERTURA DO NAPOCZĘCIA BARDZO SZTYWNEJ PODRÓŻY

MOJE PRAWNE IMIĘ jest Aleksandr Perczow. Ale wszyscy z moich wielu przyjacieli przezywają mnie Aleks, bo ta wersja mojego legalnego imienia gładziej się wymawia. Matka przezywa mnie Aleksij-Nie-Przyprawiaj-Mnie-Już-Migreną!, bo ja rzeczywiście wciąż ją migreną przyprawiam. Jeśli chcesz znać, po czemu wciąż ją przyprawiam migreną, otóż po temu, że wciąż jestem gdzie indziej z przyjaciółmi i rozsiewam tyle waluty, i wyczyniam tylu rzeczy, co mogą każdą matkę przyprawić migreną. Ojciec dawniej przezywał mnie Szapkę z powodu futrzatej czapki, którą przywdziewałem nawet w letni miesiąc. Przestał mnie tak przezywać, bo mu zakaziłem dłużej przezywać mnie tak. Brzmiało mi to z chłopięcą, a ja zawsze myślałem o sobie jako bardzo mocarnym i rozplodnym. Mam dużo dziewczyn, wierz mi, i każda ma dla mnie inne imię. Jedna przezywa mnie Dzidzi, nie po temu, że jestem dzidzi, tylko po temu, że na mnie zważa. Druga przezywa mnie Cała Noc. Chcesz wiedzieć, po czemu? Mam dziewczynę, co mnie przezywa Waluta, bo rozsiewam przy niej tyle waluty. Po temu

aż jej na mnie ślinka ciecze. Mam miniaturowego bratka, który przezywa mnie Alli. Nie bardzo mnie kręci to imię, ale za to on sam kręci mnie bardzo, więc OK, zezwalam mu przezywać mnie Alli. Co się dotyczy jego imienia, jest one Igorek, ale Ojciec przezywa go Niezdarą, bo Igorek co chwila w coś musi się wspacerować. Tylko przede czterema dniami zdziałał sobie granatowe oko, bo się nie skoordynował z cegielnym murem. Jeśli się zastanawiasz, jak imię mojej suki, tak one jest Sammy Davis, Junior, Junior. Dostała to imię, bo Sammy Davis, Junior był Dziadka najlubiejszy śpiewak, a suka jest jego, a nie moja, bo to nie mnie się wydaje, że jestem ślepy.

Co się dotyczy mojego persony, tak spłodzono mnie w roku 1977 - w tymże samym, co gieroja tej historii. Prawdę zarzekłszy, życie mam całkiem ordynarne. Jak już wzmiankowałem, działałam dużo dobrych rzeczy z sobą i z innymi ludźmi, ale te rzeczy są ordynarne. Rajcują mnie amerykańskie filmy. Rajcują mnie Murzyni, a już zwłaszcza Michael Jackson. Rajcuje mnie rozsiewanie mnóstwa waluty w sławnych klubach nocnych Odessy. Lamborghini Countache są super, tak samo jak cappucciny. Dużo dziewczyn chce się z mną ucieleśniać w wielu znakomitych aranżacjach, nie pomijając Wstawionego Kangura, Łaskotek Gorkiego i Nieuległego Dozorcy Zoo. Jeśli chcesz znać, po czemu tyle dziewczyn chce z mną być, otóż po temu, że ja jestem persona prima sort do współbycia. Jestem pocziwy, jak również srodze śmieszny, a to są zdobywcze cechy. Ale tak

a tak znam wielu ludzi, co ich rajcują błyskawiczne auta i sławne dyskoteki. Tylu wyczynia Umizgi Łońskich Sputników, które zawsze finalizuje się z zaślimaczoną potwarzą, że nie nadążam ich zakarbować na wszystkich swoich rękach. Są nawet tacy, co mają Aleks na imię. (Aż trzech choćby tylko w samym moim domu!) Właśnie po temu z takim szampańskim animuszem jechałem w Łuck tłumaczyć Jonathana Safrana Foera. Bo to miało być nieordynarne.

Na drugim roku angielskiego w uniwersytecie poradzałem sobie wręcz brawurowo. Było to bardzo majestacyjnie od mojej strony, bo mój instruktor miał gównie pomiędzy mózgami. Matka taka była z mnie dumna, że aż powiedziała: „Aleksij-Nie-Przyprawiaj-Mnie-Już-Migreną! Napawiasz mnie taką dumą”. Prosiłem ją, żeby mi pokupiła skórne spodnie, ale odmówiła. „Szorty?” „Nie”. Ojciec też był dumny. „Szapka” – powiedział, a ja na to: „Przestań mnie tak przezywać”, no tak on: „Aleks, napawiasz matkę taką dumą”.

Matka to pokorna kobieta. Bardzo, bardzo pokorna. Haruje w małym barze godzinę odległości od naszego domu. Prezentuje tamtejszym klientom jedzenie i napoje, a do mnie mawia: „Dosiadam autobus przez godzinę, żeby cały dzień w pracy wyrabiać rzeczy, których nienawidzam. Chcesz wiedzieć, po czemu? Działam to dla ciebie, Aleksij-Nie-Przyprawiaj-Mnie-Już-Migreną! Kiedyś to ty będziesz dla mnie wyrabiał rzeczy, których nienawidzasz. Na tym właśnie polega życie rodzinne”. Czego ona nie załapia, to tego, że ja już teraz wyrabiam dla niej

rzeczy, których nienawidzam. Słucham, kiedy do mnie mówi. Wstrzymuję się od narzekań na swoje karłowate kieszenie. A czy już wzmiankowałem, że przyprawiam ją migreną dużo rzadziej, niż byłbym spragniony? Ale nie działałem tego wszystkiego po temu, że jesteśmy rodziną. Działam to po temu, że tak nakaża najwyklesza przyzwoitość. Tego idiomu nauczył mnie gieroj. Działam te rzeczy po temu, że nie jestem wielki pierdolony gnój. To jeszcze jeden idiom, którego się nauczyłem od gieroja.

Ojciec haruje w biurze wojaży popod nazwą Zwiedzanie Dziedzictwa. To biuro dla Żydów takich jak gieroj, którzy łakną opuścić Amerykę, ten uszlachcony kraj, i odwiedzić pokorne miasta w Polsce i Ukrainie. Ojcowskie biuro staluje tłumacza, przewodnika i szofera dla Żydów, którzy próbują wypodziemić miejsca, gdzie ongiś istniały ich rodziny. OK, nigdy nie spotkałem żydowskiego osoby aż do ta podróż. Ale to była ich wina, nie moja, bo ja zawsze byłem chętny, można by nawet napisać letni, spotkać kogoś takiego. Znowu będę prawdomowny i zawzmiankuję, że poprzed tą podróżą byłem zdania, jakoby Żydzi mieli gównno pomiędzy mózgami. No bo zapłacają Ojcu mnówstwo waluty, żeby wyjechać na wakacje z Ameryki w Ukrainę. Ale potem poznałem Jonathana Safrana Foera i pogadam ci, on wcale nie ma gówna pomiędzy mózgami. To pomysłowiecki Żyd.

Obnośnie Niezdary, którego zanigdy zresztą nie przezywam Niezdarą, tylko zawsze Igorkiem, to z niego

jest pierwszorzędny chłopiec. Mam już jasność, że wyrośnie na bardzo mocarnego i rozplodnego mężczyznę o nader muskularnym mózgu. Nie gaworzymy w obfitości, bo taki to już z niego cichy persona, ale jestem pewien, że jesteśmy przyjaciółmi, i chyba nie zakłamałbym, gdybym napisał, że jesteśmy przyjaciółmi kapitalnymi. Wyuczyłem Igorka, jak być światowcem. I tak na ów przykład o trzy dni onegdaj eksponowałem mu jeden świniacki magazyn, żeby był powiadomiony o tych wielu pozycjach, w których się ucieleśniam. „To jest sześćdziesiąt dziewięć” – powiedziałem mu, prezentując poprzed nim magazyn. Położyłem palce – równo dwa – na akcji, żeby jej nie przeoczył. „A po czemu to się przeżywa sześćdziesiąt dziewięć?” – zagadnął, bo jest on taki persona, co pała ognistą ciekawością. „Wynaleziono tą pozycję w sześćdziesiątym dziewiątym roku. Mój przyjaciel Gregory zna przyjaciela bratanka wynalazcy”. „A co ludzie działali poprzed sześćdziesiątym dziewiątym rokiem?” „Zwykłe obciążanie i przeżuwanie puzdra, ale nigdy chórem”. Będzie jeszcze z niego VIP, jeśli mam w tej sprawie coś do pogadania.

I tu właśnie poczyna się fabuła.

Najpierw jednakowszem mam obowiązek wyrecytować swoją dobrą prezencję. Otóż jestem jednoznacznie wysoki. Nie znam żadnych kobiet wyższych ode mnie. Te kobiety, które znam, co są wyższe ode mnie, są lesbijki i dla nich 1969 był bardzo doniosły rok. Mam przystojne włosie, rozłupione poprzez środek. To po temu, że Matka dawniej rozłupiała je z boku, jak byłem mały,

więc żeby ją przyprawić migreną, teraz rozłupiam je pośrodku. „Aleksij-Nie-Przyprawiaj-Mnie-Już-Migreną! – powiedziała. – Wyglądasz mentalnie rozbalansowany, jak masz włosie rozłupione tak, jak masz”. Wcale tego nie intencjowała, wiem. Matka bardzo często wymawia rzeczy, których wiem, że nie intencjuje. Mam arystokratyczny uśmiech i lubię rozdawać ludziom fangi. Mój brzuch jest bardzo mocny, chociaż obecnie bryka mu mięśniów. Ojciec to tołsty mężczyzna i Matka też. Wcale mnie to nie bezpokoi, bo mój brzuch jest bardzo mocny, chociaż wygląda bardzo tołstym. Jeszcze opiszę swoich oczu i zaraz pocznę fabułę. Moje oczy są niebieskie i przepyszne. A teraz już pocznę fabułę.

Ojciec otrzymał telefon z amerykańskiego biura Zwiedzania Dziedzictwa. Wymagali szofera, przewodnika i tłumacza dla jednego młodego człowieka, który przyjeżdża w Łuck w zaraniu miesiąca lipca. Była to kłopotliwa sprawa, bo w zaraniu lipca Ukraina miała obchodzić pierwsze urodziny swojej ultranowoczesnej konstytucji, co zbudza w nas bardzo nacjonalistyczne uczucia, toteż wiadomo było, że wielu ludzi powyjeżdża na wakacje w cudzoziemskie strony. Była to niemożliwa sytuacja, coś jak olimpiada w 1984 roku. Ale Ojciec to zastraszający mężczyzna i zawsze otrzymuje to, czego jest spragniony. „Szapka – powiedział telefonem do mnie, który siedziałem w domu, rozkoszując się najwspanialszym ze wszystkich filmów dokumentalnych, utytułowanym *Jak kręcono Thriller* – jaki język studniowałeś w tym roku w szkole?” „Przestań mnie przezywać

Szapka” - odparłem. „Aleks - powiedział - jaki język studiowałeś w tym roku w szkole?” „Język angielski” - powiedziałem mu. „Jesteś w nim dobry i świetny?” - zagadnął mnie. „Jestem ciekły” - powiedziałem mu z nadziei, że uczyni się dosyć dumny, żeby mi pokupić pokrowce na siedzenia z zebrzej skóry, moje wymarzone. „Znakomicie, Szapka” - powiedział. „Przestań mnie tak przezywać” - odparłem. „Znakomicie, Aleks. Znakomicie. Musisz unicestwić wszelakie plany, jakie u ciebie są na pierwszy tydzień miesiąca lipca”. „U mnie nie ma nijakich planów” - powiedziałem mu. „Owszem, są” - wyrzekł.

Teraz nadciąga stosowna pora, żeby zawzmiankować Dziadka, który też jest tołsty, i to jeszcze bardziej niżli moi rodzice. OK, zawzmiankuję go. Ma złote zęby i hoduje bujne włosie sobie na twarzy, żeby je czesać ku zmierzchowi każdego dnia. Pięćdziesiąt lat harował w rozmaitych zatrudnieniach, głównie rolniczych, a potem manipulował maszynami. Jego finalne zatrudnienie było w Zwiedzaniu Dziedzictwa, gdzie począł harować w 1950 roku i wytrwał aż do niedawno. Ale teraz jest zreumerytowany i żyje na naszej ulicy. Moja Babka zmarła o dwa lata onegdaj na raka w mózgu i Dziadek uczynił się bardzo melancholiczny, a także, jak twierdzi, ślepy. Ojciec jemu nie wierzy, ale pokupił mu jednokowszem Sammy Davis, Junior, Junior, bo Przewodnia Suka jest nie tylko dla ślepich, ale i dla takich, co usychają z tęsknoty za negatywem samotności. (Nie powinien byłem pisać „pokupił”, bo w całej prawdzie Ojciec wcale

Sammy Davis, Junior, Junior nie kupił, tylko ją pozyskał z domu dla zapominalskich psów. I po temu ona nie jest prawdziwa Suka Przewodnia, a na dodatku jest mentalnie obłąkańcza.) Dziadek rozprasza większość dnia u nas w domu, widokując telewizję. Często na mnie wrzeszczy. „Sasza! – wrzeszczy. – Sasza, nie bądź z ciebie taki leń! Nie bądź taki do niczego! Rób coś! Rób coś godnego!” Zanimy mu nie repliczę ani go z intencją nie przyprowadzam migrenę i nigdy nie rozumiem, co znaczy „godnego”. Nie miał tego bezapetycznego zwyczaju, żeby wrzeszczeć na Igorka i na mnie, dopóty Babka nie zmarła. Właśnie stąd jesteśmy pewni, że on tego wcale nie intencjuje, i po temu potrafiamy mu wybaczać. Raz go odkryłem, jak rozpłacał poprzód frontem telewizora. (Jonathan, ta partia o Dziadku musi pozostać pośród tobą a mną, tak?) Akurat wystawiali prognostyk pogody, więc byłem pewien, że to nie żadne coś melancholiczne w telewizji tak go rozpłaczyło. Zanimy tego nie wzmiankowałem, bo najwyklesza przyzwoitość zakażała to wzmiankować.

Imię Dziadka też jest Aleksandr. Nawiasowo Ojca też. Wszyscy jesteśmy pierworodkie dzieci w swoich rodzinach, co wnosi nam ogromny honor, na skalę sportu w baseball, który wynaleziono w Ukrainie. Swoje pierwsze dziecko też przezwę Aleksandr. Jeśli chcesz znać, co się wydarzy, jeśli moje pierwsze dziecko będzie dziewczyna, otóż ci powiem. On nie będzie dziewczyna. Dziadka spłodzono w Odessie w roku 1918. Nigdy się nie wydalil z Ukrainy. Najodleglej jak w zyciu wojażo-

wał, to w Kijów, poprzez to, że mój stryj akurat ślubił się z Krową. Jak byłem mały, Dziadek nauczał, że Odesa to najpiękniejsze miasto świata, bo wódka tu tania i kobiety też. Zanim Babka zmarła, wytwarzał z nią śmieszności o tym, jak to zakochuje się z innymi kobietami, które nie są Babką. Wiedziała, że to tylko śmieszności, bo śmiała się obficie. „Anna – mawiał – poślubię tą w różowym kapeluszu”. A ona na to: „Komu ją poślubisz?” No to on: „Sobie”. Śmiałem się bardzo na zadnim siedzeniu, a ona mówiła do niego: „Przecież nie jesteś pop”. A on jej: „Dzisiaj jestem”. Na co ona: „Dzisiaj wierzysz w Boga?” A on: „Dzisiaj wierzę w miłość”. Ojciec skomenderował mi zanigdy nie wzmiankować Dziadku o Babce. „Uczyni się poprzez to melancholiczny, Szapka” – powiedział Ojciec. „Przestań mnie tak przezywać” – ja na to. „Uczyni się poprzez to melancholiczny, Aleks, i będzie myślał, że jest jeszcze ślepsy. Niech zapomni”. No więc zanigdy nie wzmiankuję o Babce, bo zawsze działał, co Ojciec kazi, chyba że akurat mi się nie chce. On zresztą pierwszorzędnie rozdaje fangi.

Kiedy Ojciec już natelefonował do mnie, zatelefonował Dziadku, żeby mu powiadomić, że będzie szofer naszej podróży. Jeśli chcesz znać, kto miał być przewodnik, odpowiedź brzmi, że nie miało być żaden przewodnik. Ojciec powiedział, że przewodnik to nie jest coś nieodzowne, bo Dziadek posiada sutą wiedzę po tylu latach harówki w Zwiedzaniu Dziedzictwa. Ojciec przezwiał go ekspertem. (Wtedy brzmiało to bardzo

sensownie. Ale co ty teraz na to, Jonathan, w światłości wszystkiego, co się wydarzyło?)

Kiedy tamtego wieczoru wszystka trzej, trzej mężczyźni imieniem Aleks, zebraliśmy się w domu Ojca, żeby obrozmówić wojaż, Dziadek powiedział: „Nie chcę tej roboty. Jestem zreumerytowany i nie po to przelałem na reumeryturę, żebym musiał wyczyniać takie zasaństwo. Skończyłem z tym”. „Nie obchadza mnie twoje chcenie” – powiedział mu Ojciec. Dziadek dał fangę w stół z wielkim gwałtem i krzyknął: „Nie zapominaj, kto jest kto!” Myślałem, że to będzie koniec konwersacji. Ale Ojciec powiedział coś dziwaczne. „Proszę”. A potem dodał coś jeszcze dziwaczniejsze. Powiedział: „Ojcze”. Muszę zeznać, że tyłu jest rzeczy, których nie rozumiem. Dziadek zawrócił na swoje krzesło i powiedział: „To już finalny raz. Zanigdy więcej tego nie zdziałam”.

No więc poknuliśmy zamysły, żeby sprokurować gie-roja na lwowskim dworcu kolejnym drugiego lipca o godzinie 1500 po południu. Potem dwa dni mieliśmy przepędzić w okolicy Łucka. „Łuck? – powiedział Dziadek. – Nic nie mówiłeś, że to Łuck”. „To Łuck” – przytwierdził Ojciec. Dziadek uczynił się cały w myślach. „On szuka za miastem, z którego wyszedł jego dziadek – powiedział Ojciec – i za jedną taką, mówi na nią Augustyna, co wyłowiła jego dziadka z wojny. Spragniony jest napisać książkę o wiosce swojego dziadka”. „O – powiedziałem – znaczy jest inteligentny?” „Nie – skorygował Ojciec. – Ma niskiej klasy mózg. Amerykańskie biuro powia-

damia mi, że on codziennie do nich telefonuje i wytwarza liczne niespełna rozumne dociekania co do tego, żeby znaleźć odpowiedzialne jedzenia”. „Na pewno będzie kolbasa” – przetrąciłem. „Oczewidno – zgodził się Ojciec. – On jest rozumny tylko niespełna”. Tu przywtórzę, że gieroj to bardzo pomysłowiecki Żyd. „Gdzie jest to miasto?” – zagadnąłem. „Nazywa się ono Trachimbrod”. „Trachimbrod?” – przywtórzył Dziadek. „Prawie pięćdziesiąt kilometrów od Łucka – zaprecyzował Ojciec. – On posiada mapę i jest ufny we współrzędne. Powinno się powieźć bez problemów”.

Kiedy Ojciec spoczął, Dziadek i ja jeszcze poprzez kilkoro godzin widokowaliśmy telewizję. Obaj jesteśmy tacy ludzie, co zostają świadomi do wielce późna. (Mało brykło, a byłbym wypisał, że obaj lubimy zostać świadomi do wielce późna, ale to nie jest nawierne.) Widokowaliśmy amerykański program telewizyjny z rosyjskimi słowami na dnie ekranu. O jednym Chińczyku, co był zaradny z panzerfaustem. Widokowaliśmy też prognozyk pogody. Prognozyk zapowiedział, że pogoda w nazajutrz będzie bardzo anormalna, ale w nazajutrz po nazajutrz wynormalnieje. Pośród Dziadkiem a mną władało takie milczenie, że można by je krajać jataganem. Nikt się nie odzywał, tylko raz Dziadek zwyobracał się w moją stronę, jak pokazywali reklamy McPorkburgerów McDonald’sa, i powiedział: „Nie chcę jechać dziesięciu godzin w jakieś brzydkie miasto, żeby nadśługiwać jakiemuś bardzo zepsutemu Żydu”.

POCZATEK ŚWIATA CZĘSTO NADCHODZI

BYŁ OSIEMNASTY marca 1791 roku, kiedy ośmiokółowy wóz Trachima B. przygwoździł go albo i nie przygwoździł do dna rzeki Brod. Młode bliźniaczki W. pierwsze zauważyły wypływające na powierzchnię osobliwe drobiazgi: rozpełzłe węże białego sznurka, wyprostowane palce rękawiczki z wygniatanego aksamitu, ogołoczone szpulki, binokle o zapaćkanych szklach, maliny i jeżyny, fekalia, falbanki, okruchy stłuczonego rozpylacza do perfum, krwawiące czerwonym atramentem litery oświadczenia: *Chcę... Chcę...*

Hanna zaczęła rozpaczliwie zawodzić. Chana weszła do zimnej wody, podciągnąwszy wyżej kolan zwisające u nogawek pantalonów troczki z przędzy, rozgarnęła odpadki czyjegoś życia, których coraz więcej wypływało na powierzchnię, i weszła jeszcze głębiej. *Co ty tam robisz!* – zawołał zhańbiony lichwiarz Jankiel D., kuśtykając w stronę dziewcząt z takim pośpiechem, że nadržeczne błoto tryskało mu spod stóp. Wyciągnął do Chany rękę, drugą (jak zwykle) zasłaniając kompromitujące kółko z liczydeł, które zgodnie z proklamacją sztetla musiał

nosić na szyi, przewleczone sznurkiem. *Nie wchodź do wody! Źle się to skończy!*

Pocziwy handlarz *gefiltefisiz*, Bicł Bicł R., śledził to zamieszanie ze swojej łódki, która stała przy jednym z jego więcierzy, przywiązana szpagatem. *Co się tam wyprawia?* – zawołał w stronę brzegu. *To ty, Jankiel? Dzieje się coś złego?*

Bliźniaczki Rabina Wielce Poważanego bawią się w wodzie! – odkrzyknął Jankiel. *A ja się boję, że którejs stanie się krzywda!*

Najprzedziwniejsze rzeczy wypływają na wierzch! – zawołała ze śmiechem Chana, z pluskiem rozgarniając zbieraninę różnych różności, która wyrastała wokół niej jak ogród. Wyciągnęła z wody ręce lalki naguska i wskazówki zegara ściennego. Szkielet parasola. Wytrych. Różne przedmioty wypływały, unosząc się na całych koronach bąbelków, które natychmiast pękały, wyłoniwszy się na powierzchnię. Nieco młodsza z dwóch bliźniaczek – i mniej ostrożna – przeczesywała palcami wodę, za każdym razem wydobywając z niej nowe znalezisko: żółty dziecinny wiatraczek, zabłocone ręczne lusterko, płatki zatopionej niezapominajki, muł i spękane ziarna czarnego pieprzu, paczkę nasion...

Ale jej nieco starsza i ostrożniejsza siostra, Hanna – pod każdym zresztą innym względem identyczna, pominawszy zrosnięte brwi – patrzyła na to z brzegu i płakała. Zhańbiony lichwiarz Jankiel D. objął ją, przytulił jej głowę do piersi, szepnął: *No... no...*, i krzyknął na Bicła Bicła: *Płyń do Rabina Wielce Poważanego i przywieź go tu*

swoją łódką. Zabierz też lekarza Menaszę i Izaaka, znawcę praw. Spiesz się!

Szalony szlachetka Sofijówka N., pod którego imieniem sztetl miał później figurować na mapach i w mormońskich spisach ludności, wyszedł zza drzewa. *Dokładnie widziałem, co się stało* – rzekł historycznym tonem. *Każdy szczegół, na własne oczy. Wóz jechał za szybko, jeśli wziąć pod uwagę stan tej błotnistej drogi – a jedyne, co może być gorsze od spóźnienia na własny ślub, to zbyt późno zjawić się na ślubie swojej niedoszłej żony – i nagle się przewrócił, a jeśli ten opis niezupełnie odpowiada prawdzie, to owszem, wóz nie przewrócił się sam, lecz od uderzenia wiatru wiejącego z Kijowa, z Odessy czy skądinąd, a jeśli i ta wersja brzmi nie całkiem przekonująco, to w rzeczywistości zdarzyło się – klnę się własnym, jak lilia nieskalanym imieniem – że z kamiennym szumem swych nagrobnych skrzydeł anioł zstąpił z niebios, aby porwać w nie Trachima, albowiem Trachim za dobry był jak na ten świat. Bo i kto nie jest? Każdy z nas jest przecież taki dobry, że inni nie są go warci.*

Trachim? – spytał Jankiel, pozwalając Hannie pomać kompromitujący krążek z liczydeł. *Czy to aby nie ten szewc z Łucka, który pół roku temu zmarł na zapalenie płuc?*

Patrzcie no! – zawołała Chana i chichocząc, podniosła wysoko rękę, a w niej kartę ze świńskiej talii: waleta z koloru minet.

Nie – odparł Sofijówka. *Tamtemu było Trachum na imię, przez „u”. A ten tutaj pisał się przez „i”. No i tamten umarł w Noc Najdłuższą Spośród Nocy. Nie, zaraz. Nie, zaraz. Umarł na artyzm.*

Albo i to! – przenikliwie zabrzmiał radosny okrzyk Chany, która właśnie podniosła do góry wypełzłą mapę wszechświata.

Wylaż z wody! – wrzasnął na nią Jankiel, choć byłby wolał nie zwracać się tak podniesionym tonem do córki Rabina Wielce Poważanego, ani zresztą do żadnej młodej dziewczyny. *Jeszcze ci się coś stanie!*

Chana pobiegła w stronę brzegu. Zielona toń zakryła zodiak, gdy gwiazdna mapa osunęła się na dno rzeki, aby spocząć niby woal na końskim czole.

Mieszkańcy sztetla zaczęli otwierać okiennice, zaintrygowani harmidrem (ciekawość była bowiem jedyną wspólną im wszystkim własnością). Wypadek zdarzył się nieopodal małego wodospadu – w miejscu, w którym biegła ówczesna granica między dwiema dzielnicami sztetla: Kwartałem Żydowskim i Trzema Ludzkimi Kwartałami. Wszystko, co uchodziło za święte – studia religijne, koszerne rzeźactwo, dobijanie targu itp. – uprawiano w Kwartale Żydowskim. Natomiast czynności związane z pospolitością codziennego bytowania – studia świeckie, komunalny wymiar sprawiedliwości, kupno i sprzedaż – odbywały się w Trzech Ludzkich Kwartałach. Na granicy stała Synagoga Strzelista. (Arkę ustawiono dokładnie wzdłuż linii uskoku, żeby w każdej z dwóch dzielnic spoczywał jeden zwój Tory.) W miarę jak zmieniały się proporcje między świętością a świeckością – choć zazwyczaj bywały to wahnięcia za ledwie o włos w jedną lub w drugą stronę, jeśli pominąć ten wyjątkowy moment z roku 1764, tuż po Pogromie

Bitych Piersi, kiedy to sztetl na bitą godzinę zupełnie ześwieczał – przemieszczała się też linia uskoku, nakreślona kredą od Lasu Radziwiłłów aż do rzeki. Przy każdej takiej okazji podnoszono i przesuwno synagogę. W roku 1783 przyprawiono jej koła, dzięki czemu pilnowanie wiecznie chwiejnej równowagi między Żydowskością a Ludzkością stało się dla sztetla mniejszym móżdżkiem.

Rozumiem, że zdarzył się wypadek – sapnął Szloim W., skromny handlarz antyków, który trzymał się przy życiu wyłącznie dzięki cudzej dobroczynności, bo odkąd żona przedwcześnie go odumarła, nie umiał się rozstać z choćby jednym kandelabrem, figurynką czy klepsydrą.

Skąd wiesz? – zdziwił się Jankiel.

Bicl Bicl krzyknął do mnie z łódki, kiedy płynął po Rabina Wielce Poważanego. Idąc tutaj, zastukałem do tyłu drzwi, do ilu tylko zdołałem.

To dobrze – powiedział Jankiel. Sztetl będzie musiał wydać proklamację.

Czy on aby na pewno nie żyje? – spytał ktoś.

Niewątpliwie – zaręczył Sofijówka. Nie żyje tak samo, jak nie żył, zanim jego rodzice się spotkali. A może jeszcze bardziej, bo wtedy był przynajmniej pestką w chuju swojego ojca i pustką w brzuchu matki.

Próbowaliście go ratować? – spytał Jankiel.

Nie.

Zasłoń im oczy – polecił Jankielowi Szloim, wskazując gestem dziewczęta. Szybko się rozebrał, obnażając kałdun, okazalszy niż większość brzuchów, oraz plecy,

porośnięte spilśnioną gęstwą czarnych kędziorów, i dał nura do wody. Na skrzydłach wezbranych fal przemknęły po nim pióra. Perły z rozerwanego sznura i wybite zęby. Przepłynęły krwawe skrzepy, merlot i pęknięty wi-siorek z żyrandola. Wznoszące się ku górze pokłosisie katastrofy coraz bardziej gęstniało, aż w końcu pływak nie widział przed sobą nawet własnych dłoni. *Gdzie? Gdzie?*

Znalazłeś go? – spytał Izaak, znawca praw, kiedy Szloim wreszcie z powrotem się wynurzył. *Wiadomo, jak długo już leży pod wodą?*

Jechał sam czy z żoną? – spytała nieutulona w żalu Szanda T., wdowa po filozofie Pinchasie T., który w swoim jedynym zasługującym na uwagę artykule, pod tytułem *Do pyłu: z człowiekaś powstał i w człowieka się obrócisz*, twierdził, że – teoretycznie rzecz biorąc – życie i sztuka mogłyby zamienić się rolami....

Przez sztetl przebiegł podmuch wiatru tak potężny, że aż zaświszczało. Ci, co w słabo oświetlonych izbach studiowali niejasne pisma, podnieśli głowy znad ksiąg. Kochankowie, uwikłani we wzajemne przeprosiny i obietnice, błędów naprawianie i wymówek szukanie, zamilkli. Samotny świeczarz Mordechaj C. zanurzył dłonie w kadzi ciepłego, niebieskiego wosku.

To prawda, że miał żonę – wtrącił Sofijówka, wbijając lewą rękę głęboko do kieszeni spodni. *Dobrze ją pamiętam. Miała takie przepyszne cycki. Boże, jakie wspaniałe cyce! Któż mógłby je zapomnieć? Były, o mój Boże, jakie one były wspaniałe! Oddałbym wszystkie słowa, jakich od tamtej pory się nauczyłem, bylebym tylko mógł z powrotem odmłodnieć,*

*och, tak, tak, i do syta sobie posać te jej cycuszki. Oddałbym!
Oddałbym, a jakże!*

Skąd wiesz to wszystko? – spytał ktoś.

W dzieciństwie pojechałem raz do Równego, ojciec wysłał mnie tam w jakiejś sprawie. Właśnie do domu tego Trachima. Jego nazwisko czmycha mi z języka, ale całkiem wyraźnie pamiętam, że pisał się przez „i” – Trachim – i miał młodą żonę z dwojgiem wspaniałych cycków, małe mieszkanko pełne bibelotów i bliznę od oka do ust, a może od ust do oka. Jedno z dwojga.

WIDZIAŁEŚ JEGO TWARZ, KIEDY MIJAŁ CIĘ WOZEM?! – gromko spytał Rabin Wielce Poważany, do którego właśnie podbiegły córki, żeby skryć się pod przeciwnymi końcami jego szala modlitewnego. I TĘ BLIZNĘ?

A potem, aj jaj jaj, znów go zobaczyłem, kiedy jako młody człowiek byłem na praktyce we Lwowie. Trachim przyjechał akurat wtedy z dostawą brzoskwiń, jeśli mnie pamięć nie myli, a może śliwek, do stacji dla uczennic, która mieściła się po drugiej stronie ulicy. A może był listonoszem? Tak, roznosił listy miłosne.

To oczywiste, że nie mógł już być żywy – powiedział lekarz Menasza, otwierając swoją torbę medyka. Wyjął z niej kilka kartek z wypisanymi aktami zgonu, a kolejny podmuch wiatru porwał je i rzucił w korony drzew. Niektóre spadły wraz z liśćmi jeszcze tego samego roku, we wrześniu. Inne spadły, gdy runęły drzewa, po upływie całych pokoleń.

A choćby nawet żył, i tak nie zdołalibyśmy go oswobodzić – dodał Szloim, wycierając się do sucha za wielkim

głazem. *Nie da rady dostać się do wozu, póki cały bagaż nie wypłynie.*

SZTETL MUSI WYDAĆ PROKLAMACJĘ! – proklamował Rabin Wielce Poważany, zdobywszy się na jeszcze bardziej niż przedtem władczy okrzyk.

No więc jak on się właściwie nazywał? – spytał Menasza, przytykając do języka gęsie pióro.

Czy możemy z całą pewnością twierdzić, że miał żonę? – zatroskała się nieutulona w żalu Szanda, kładąc dłoń na sercu.

Czy dziewczęta coś widziały? – zapytał Awrum R., szlifierz drogich kamieni, który sam nie nosił pierścionków (choć Rabin Wielce Poważany zaręczył mu, że wie o pewnej młodej kobiecie z Łodzi, która może go uszczęśliwić [na zawsze]).

Dziewczęta nic nie widziały – odparł Sofijówka. *Widziałem, że nic nie widziały.*

Bliźniaczki – tym razem obie jednocześnie – wybuchnęły płaczem.

Ale przecież nie możemy w tej sprawie polegać wyłącznie na jego słowach – rzekł Szloim, gestem wskazując Sofijówkę, który ze swej strony też znalazł odpowiedni gest, żeby zrewanżować się Szloimowi za tę uprzejmość.

Nie pytajcie dziewcząt – powiedział Jankiel. *Dajcie im spokój. Dostyc już przeszły.*

Tymczasem prawie wszyscy obywatele sztetla, w sumie trzysta ileś osób, zgromadzili się, żeby debatować nad czymś, o czym nic nie wiedzieli. Im mniej kto wiedział, tym zapalczywiej dowodził swojej racji. Nie była

to żadna nowość. Za ledwie miesiąc wcześniej wyłoniła się kwestia, czy nie wywarłoby to lepszego wpływu na dzieci, gdyby tak wreszcie zaszpunktować dziurę w bajglu. Przed dwoma miesiącami odbyła się okrutna, a zarazem komiczna dysputa w kwestii pracy zecera, przedtem zaś roztrząsano kwestię polskiej tożsamości, co wiele osób doprowadziło do łez, wiele innych rozśmieszyło, a wszystkich dyskutantów skłoniło do podnoszenia dalszych kwestii. W przyszłości miano jeszcze rozważać inne kwestie, a po nich jeszcze inne: kwestie wyłaniające się od zarania czasu, który nie wiadomo kiedy zaczął płynąć, aż po jego kres, który nie wiedzieć kiedy nastąpi. *Z popiołu? W popiół?*

A MOŻE – zaproponował Rabin Wielce Poważany, jeszcze wyżej podnosząc ręce, jeszcze bardziej podnosząc głos – *WCALE NIE MUSIMY ROZSTRZYGAĆ TEJ SPRAWY. A GDYBYŚMY TAK W OGÓLE NIE WYPEŁNILI AKTU ZGONU? GDYBYŚMY TYLKO POCHOWALI CIAŁO JAK NALEŻY, SPALILI WSZYSTKO, CO RZEKA WYRZUCI NA BRZEG, I POZWOLILI ŻYCIU TOCZYĆ SIĘ DALEJ W OBLICZU TEJ OTO ŚMIERCI?*

Ale przecież musimy wydać proklamację – sprzeciwiła się Froida J., co robiła cukierki.

Chyba że sztetl proklamuje zbędność proklamacji – sprostował Izaak.

Może powinniśmy porozumieć się z jego żoną – powiedziała nieutulona w żalu Szanda.

Może powinniśmy zacząć zbierać szczątki – powiedział dentysta Eliezar Z.

Wśród splotu sprzecznych zdań mało kto usłyszał, co powiedziała młoda Hanna, wyrzawszy głowę spod frędzli, którymi obszyte było skrzydło ojcowskiego tałesu.

Coś widzę.

CO? – zapytał ojciec, uciszając pozostałych. *CO WIDZISZ?*

Tam – rzekła, wskazując palcem spienioną wodę.

W kłębowisku sznurków i piór, wśród świec i przemoczonych zapalek, krawetek i jedwabnych kutasów kucających jak meduzy, leżała maleńka dziewczynka, wciąż jeszcze lśniąca od śluzu, wciąż jeszcze różowa niczym wnętrze śliwki.

Bliźniaczki skryły się jak widma pod ojcowskim tałesem. Na dnie rzeki koń pod całunem zatopionych nocnych niebios zamknął ciężkie powieki. Prehistoryczna mrówka w pierścieniu Jankiela, znieruchomiła w miobarwnym bursztynie już na długo przedtem, zanim Noe przybił pierwszą deskę, skryła głowę w gęstwie własnych odnóży, zawstydzona.